

*Jakiś czas później*  
*Czerwona izba*

Jacek nie mógł usiedzieć spokojnie. Przemierzał czerwoną izbę w wysokich, husarskich, kowanych butach, zaglądał w oblicza portretów, spoglądał przez okna na dziedziniec.

I pił węgryzna. Strasznie i na umór, jakby to opisał jakiś cudak z Francji albo Hiszpanii, czyli zwyczajnie – polską miarą.

Jechać do Moskwy...

Jechać do Dymitra, którego znieważył, wysmiał i skonfundował. Błagać o łaskę małego samozwańczego carzyka, który uląkł się gdzieś w zapadłym Brahimiu na Ukrainie, dostał w gębę od Jego Książęcej Mości i aby wznieść się w dworskich zaszczytach, opowiedział Wiśniowieckim bajeczkę o swym carskim rodowodzie.

Iść z nim na Moskwę? Zmierzyć się z carem Godunowem?  
Z jego wojskami, puszkami i twierdzami?

Co to jest Moskwa?

Co o niej można powiedzieć?

Kraina za granicą Rzeczypospolitej, za Dnieprem i Dźwiną. Przestrzeń wielka jak ocean, stepowa i śnieżna. Terra incognita, niezaznaczona na mapach, nieopisana w diariuszach ani uczonych dziełach. A za nią, za białą plamą wiecznego lodu i śniegu, były jeszcze dalsze kraje i krainy – niczym z baśni i bajek. Kitaj. Kataj. Cipang, Siny, Cesarstwo Serów. A w Moskwie... Tu nagle napłynęły do jego duszy wieści opowiadane przez wędrownych

histrionów, ślepców, gawędziarzy, starych żołnierzy goszczących w progach tego dworu, dawnych towarzyszy króla Stefana i Jana Zamoyskiego spod Wielkich Łuk, Pskowa, Smoleńska, Czernihowa. Moskwa... Kraina bogatych ikonostasów, klejnotów z carskich skarbców, złotych i srebrnych cerkwi, soboli, futer i dróg do krajów, gdzie wszystko jest z najcenniejszego kruszcu. Perły, niedźwiedzie, warowne monastyny, a w nich nieprzeliczone skarbcce, dzikie zwierzęta, drewniane grody i miasta pełne towarów z Persji, z Kitaju, dziwnych, nieznanych, przebogatych.

Chodził po izbie jak błędny, czasem łapał się za głowę.

Co jeszcze wiedział o Moskwie?

Mówiąc najprawdziwszą prawdę, wiedział dokładnie to wszystko, co w chłonne głowy żaków, uczniów i szlachciców wpajali sejmikowi statyści na usługach dworu, królewscy poeci oddający swoje pióra starym i młodym Zygmuntom tudzież wielkim, choć srogim Stefanom. Słudzy i rękodajni władców Polski i Litwy, królów dbających, aby nigdy nie zabrakło ochotników walczących z moskiewskimi tyranami, despotami i barbarzyńcami na limes romana<sup>34</sup>, w którą zamieniła się wschodnia granica Rzeczypospolitej. A ponieważ jakoś w Moskwie rodziło się o wiele mniej poetów i gawędziarzy niż białych i brunatnych niedźwiedzi, Jacek i Przeclaw nie mogli poznać opinii drugiej strony ani dowiedzieć się więcej z ksiąg moskiewskich. Albowiem nie było takowych w Rzeczypospolitej, a bardzo mało w samej Moskwie.

A więc po kolei. Moskale lud srogi. Żadni tam pradawni Sarmaci z kronik Długosza, Kromera i Macieja z Miechowa, ale chytry i sprośni Moskwiciniowie, złe plemię zamieszkujące grubą północną ziemię. Chowani z niedźwiedziami, pohańscy, brodaci, brudni i chytry. Rządzeni przez wielkich książąt, którzy jakoby w jasełki kazali nazywać się carami – cesarzami. Czyimi? Cesarstwa greckiego, które padło wieki temu pod naporem tureckich szabel i koncerzy?

---

34 łac. – granica rzymska

Ludzie twardzi, lecz zdrażliwi. Żyjący w krainie wiecznego lodu, równie wolni co rząd koni żujących przy żłobie. Poddani rozbójniczej władzy carów, którzy knut, dyby i katowskie topory mieli za lepsze narzędzia do zjednywania ludzi niż retorykę i politykę razem wzięte. Zresztą jak można było inaczej rządzić tak nikczemnym narodem – Jacek pamiętał jeszcze dokładnie zacne strofy pana Mikołaja Reja piszącego o Moskalach:

*Chłopi są z głupia chytrzy, ale tam prawego  
Rozumu barzo mało, k'rzeczy przystojnego.*

I masz tu i jedź do tej Moskwy!

Inna rzecz, że teraz, dopiero teraz do podgolonego łba pana Dydyńskiego dotarło, co tak naprawdę uczynił jego ojciec, wydając rodzzonego brata w niewolę dzikiego, barbarzyńskiego ludu, którego grubianitas znana była nie tylko w Rzeczypospolitej, ale też poza jej granicami. Na Boga żywego! I to w czasach, gdy Moskwą rządził car tyran, okrutnik i despota, nazywany mianem następcy chromego Timura i przebiegłego Czyngisa oraz wielu innych diabłów ze Wschodu, których impet rozbił się zawsze na piersiach polskich, węgierskich i litewskich rycerzy. Jednak nazwy te nie oddawały prawdy, gdyż pomimo swego okrucieństwa car Iwan był w głębi duszy tchórzem. Nie stanął do walki jak dzielny mąż, a kiedy jego syn pytał, czemu nie wyrusza w pole przeciwko Polakom, zabił go żelaznym kosturem, którym rachował żebra i kości swoich sług oraz doradców bardziej skrupulatnie niż wiejski ekonom worki z ziarnem.

A kto teraz rządził Moskwą? Borys Godunow, który był wiernym i posłusznym psem łańcuchowym Groźnego. Iwana, co z dziką rozkoszą wbijał ludzi na pał, wieszał, obdzierał ze skóry, mordował wsie i miasta, jak choćby nieszczęsny Nowogród Wielki, który chciał się poddać władzy króla polskiego. Wydanie w takie ręce choćby najnikczemniejszego szlachcica, wolnego człowieka nawykłego do swobód i konstytucji, wedle których nikogo nie można było więzić bez wyroku sądowego,

było jak gwałt zadany anielskiej duszy. Co porabiał Michał Dydyński w niewoli? Czy odkuli go od armaty? Bili? Chłostali? Zsyłali do turmy? A może zabili, wbili na pał, świdrami wiercili oczy? Albo pognali na zesłanie, w dalekie kraje?

Jeśli tak było, jego krew spadała na głowy całego rodu. Nie tylko na łeb zdrajcy – Aleksandra Dydyńskiego.

Jacek wiedział już, że pojedzie. Zobaczy Moskwę. Zanurzy się w głąb pradawnych kniei, przemierzy lodowate, zamrożone przestrzenie, gdzie jedynym głosem było wycie wichru i brzęk łańcuchów carskich niewolników. Cóż mu innego zostawało? Sądzenie się ze starostą? Obalenie testamentu? To by zajęło dobre dwa, trzy lata. Rachunek był prosty: podróż do granicy Rzeczypospolitej trwałaby miesiąc, dwa, a poszukiwania w Moskwie? Rok albo całą wieczność. Ale gdyby dopisało mu szczęście, wróciłby już po roku, sprzedał majątności, przeniósł się na Ukrainę. I był wielkim panem.

I tylko ten Dymitr! Do diaska, po com go obraził? Po com naśmiewał się z niego?! – myślał w takiej desperacji, że gotów był dosłownie tłuc głową o ściany, czuł bowiem, że jeszcze chwila, a będzie musiał zgryźć swą wybujałą dumę jak twardego orzecha. Przeklęty moskiewski carzyk, samozwaniec, szelma, wor!

Jednak bez pomocy Dymitra nie mógł nawet marzyć o wyprawie. W uszach wciąż dźwięczały mu słowa starego kozaka, który przy szklenicach opowiadał w Kijowie, a może w Bracławiu – o skutej lodem Moskwie.

– Tak wejście, jak i wyjście poza granice moskiewskiej dziedziny jest trudne, bo skoro kto do miasteczka którego przyjedzie, zaraz go pytają, po co i kto by był, a spostrzegłszy coś podejrzanego, zaraz zmiennikiem, zdrajcą, go osądziwszy, na pytki go dają (bo tak tortury zowią), a potem wielką męczarnią albo długim i ciężkim więzieniem karzą. Tam wielkiemu kniaziowi nikt się nie sprzeciwi. Powiadają Moskale: *Wolien Boh, da hosudar car, wieliki kniaź wsieja Rusi*.

Dydyński spojrział na portrety przodków. Teraz już nie patrzyli na niego szyderczo. Tak... Zawsze ja. Błędny rycerz. Choć, prawdę powiedziawszy, sami tylko tacy rodzili się w Królestwie

Polskim. Być szlachcicem, być Polakiem znaczyło być zarazem szaleńcem; tudzież pijanicą.

I był to bodaj największy powód do dumy.

Wyszedł z izby, przemierzył sień i pchnął drzwi do alkierza Przeclawa. Spojrzał w oczy staroście i swemu bratu.

– Pojadę.

Ożga przymknął oczy i westchnął z ulgą.

– Pojadę zaraz, bo nie mam co tu robić. Potrzebuję mode-  
runku, koni i zaopatrzenia.

– Dam wszystko – rzekł starosta. – Także pieniądze.

– Nie wszystko! Nie wiem, co zrobić z moją służbą. Jestem pod hetmańską inkwizycją i nie mogę odjechać bez pozwolenia od chorągwi dalej niż do domu.

– Napisz, waść, list z wypowiedzeniem. A ja zadbam o znalezienie następcy na twoje miejsce. I wszystko załatwię tak z rotmistrzem, jak i z hetmanem, jeśli przyjdzie taka potrzeba.

– Dobrze.

Jacek spoglądał na Przeclawa, który leżał rozwalony, tryumfujący na łożu. Jednak gdy starszy brat podszedł bliżej, drgnął i odsunął się od niego.

– Wygrałeś – mruknął Dydyński. – Czterdzieści i jeden lat temu nasz ojciec wysłał swojego starszego brata na śmierć i zatracenie do Moskwy. Tak samo dziś młodszy Dydyński wysyła starszego na wyprawę, z której nie ma powrotu. Za grzechy moje przyjmuję to na swoje barki. Ale ty będziesz pokutował, jeśli zginę. Tak jak my pokutujemy za winy naszego ojca.

Przeclaw zbladł.

A Jacek wyszedł, nie odzywając się ani jednym słowem.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki